Nr. 1. Warszawa, dnia 22 Grudnia (3 Stycznia) 1871/2 roku. ROK VIII.

Cena prenumeraty:

Na prowincyi.
rocznie rs. 4 kop. 80
półrocznie „ 2 „ 40
kwartalnie „ 1 „ 20

W Warszawie:
rocznie rs. 3 kop.—
półrocznie „ 1 „ 50
kwartalnie — „ 75
miesięcznie — „ 25

OPIEKUN DOMOWY.

Wydawczyni, Kazimiera Mosch.

Biuro Redakcyi: w Warszawie, ulica Chmielna (blizko Nowego-Światu), Nr. 3 (nowy).

Serya trzecia.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Skład główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w księgarni Ferdynanda Hösicka ul. Senatorska Nr. 496; w *Poznaniu* u Leitgebera; we *Lwowie* u Wilda Karola; w *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza.

OD REDAKCYI.

Rozpoczynając ten piérwszy numer naszego pisma w nowym roku, powiększeniem go, według przyrzeczenia, o cały półarkusz dodatku, na którym (w książkowym układzie i formacie) same tylko lżejsze i belletrystyczne utwory, drukować zamierzamy,—uważamy sobie za przyjemność oświadczyć czytelnikom, iż chcąc dział ten „*Opiekuna Domowego*" o ile można jeszcze bardziéj rozszerzyć w treści i urozmaicić w wyborze, nabyliśmy do niego, oprócz powieści Adama Bełcikowskiego (b. profesora b. Szk. Głów. Warszawsk.) p. t.: *Dług honorowy*, inną jeszcze pracę artystyczną, mianowicie: Tragedyą Józefa z Mazowsza p. t: *Margraf Gero*, — utwór prawdziwie piękny i na konkursie Krakowskim z przeszłego roku, uznany, obok innego dramatu: „Syn Gwiazdy," pod względem pomysłu, poezyi i wykonania, za najlepszy.

Przeszkody nie od nas wcale zależne, były przyczyną, żeśmy w przeszłym roku jeszcze, rzeczy téj czytelnikom „Opiekuna", pomimo szczerego potemu życzenia, nie podali.

Z drukowanych w ten sposób, co dwa tygodnie, (rozcinanych przez samych czytelników na dwa ćwierć-arkusze) i układanych w porządek, dodatków, —formować się będą jednocześnie dwie sporego rozmiaru książki, których cena księgarska, razem, wynosiłaby niemniéj od 2 rs. „Podróż na Wschód" Ignacego Pietraszewskiego, znakomitego naszego orientalisty, nabytą dla naszego pisma za pośrednictwem J. I. Kraszewskiego, a przyrzeczoną czytelnikom, w ostatnim numerze przeszłego roku, wkrótce także umieszczać zaczniemy.

Z innych rzeczy prawdziwéj wartości, ukaże się jeszcze w szpaltach naszego pisma: *Odczyt publiczny* Juljana Ochorowicza p. t: „O pracy umysłowéj w stosunku do pracy fizycznéj", mający się odbyć 10 Stycznia w sali Res. Obyw. Gdy tym sposobem pióro jeszcze Kraszewskiego, jako też innych najzdolniejszych w literaturze naszéj pisarzy, które wszystkie zaprosiliśmy do współpracownictwa, wspomagać nas będą, — spodziewamy się w większym jeszcze stopniu, aniżeliśmy to dotąd uczynić mogli, zaspokoić wymagania swoich prenumeratorów.



Rok nowy i stary.

GAWĘDY PSYCHOLOGICZNE

Juliana Ochorowicza.

III.

Ograniczenie działań duszy ludzkiéj ze względu na czas. — Powstawanie i zmienność różnych władz. — Umysł dziecka. — Na czém polega trudność wychowania— Rola mózgu. — Czy mózg może sam odbierać wrażenia?—Jakich organów potrzeba, ażeby widzieć — Siedlisko władzy widzenia.—Nerwy czucia i nerwy ruchu. — Wewnętrzne sprawy duszy. — Myślenie.

Rozpatrzmy teraz drugie zdanie: mówią, że myśl nie zna czasu.—Czy tak jest w saméj rzeczy? Czy będąc ograniczoną, ze względu na *miejsce*, myśl pozostaje nieograniczoną, ze względu na *czas?*

„Nieskończoność i duch —to jedno," powiadają ideolodzy. Dusza ludzka, tak jak nie ma mieć końca, tak nie miała i początku. Była wiecznie i będzie wiecznie, tem czem była. Nie rodzi się i nie umiera. Każdy z nas czuje, że jego *ja*, jest tém samém, niezmienném *ja*, od chwili, do któréj pamięć nasza sięga.—Myśl może objąć zarówno najdrobniejsze mgnienie oka jak i niezmierny obszar naszéj historyi, lub dziejów naszéj ziemi, nieskończoną liczbę epok wszechistnienia. A zatém myśl nie zna granic czasu."

Jest w tych zdaniach wiele słuszności, ale jest też wiele deklamacyi.

Mogę w jednéj chwili przerzucać się myślą z jednego wieku w drugi, mogę wspominać, a raczéj domyślać się przedwiekowych dziejów natury, zarówno jak i nieskończenie odległych losów świata — to prawda; ale czyż to dowodzi, że dusza wiecznie istniała, że nigdy nie miała początku? — Nazywam się zawsze jedném imieniem, i mówiąc o sobie, mówię: *ja*, nie zaś ty lub on;

ale czyż to dowodzi, że dusza moja w niczém się nie zmieniła od pierwszéj chwili życia?

Jakże możemy przypuszczać, że dusze wszystkich ludzi żyjących i tych którzy mają żyć w przyszłości, istniały pierwéj, zanim powstały ich ciała i że istniały niezmiennie, skoro te dusze się w naszych oczach, dojrzewają, mężnieją, słabną i ulegają chorobom? — Zresztą, własna nasza świadomość nic nam nie mówi o takiém przedcielesném istnieniu — i nie może nic mówić, gdyż sama powstała późniéj. Wszakże, obserwując dziecko, widzimy najjawniéj stopniowe tworzenie się samowiedzy, jéj rozwój i wzrost na sile. Widzimy budzenie się władz, przedtém nie istniejących, powstawanie nowych pojęć, nowych uczuć, nowych skłonności; dziecko czteroletnie inaczéj patrzy na świat, niż czteromiesięczne — a któż z nas zdoła odtworzyć w sobie wszystkie te myśli i uczucia, które go ożywiały w czwartym roku życia? Każdy przyzna, że byłoby to trudném — a psycholog może śmiało powiedzieć, że jest to niemożebném. Ci, którzy wcześnie zaczęli się obserwować, przypomną sobie nie jeden szczegół z dzieciństwa, dowodzący jak dalece różnemi były nasze zapatrywania się na świat otaczający, jak odmiennie pojmowalismy najprostsze zjawiska. Fakt to niezmiernie ważny dla pedagoga. Umieć przejąć się stanem dziecinnego umysłu, podpatrzyć działające w nim pobudki, współczuć, o ile podobna, budzące się w dziecku, pod wpływem wrażeń, uczucia, odgadywać następstwa obecnego stanu umysłu, tak ruchliwego, tak zmiennego, że ociężała mysl nasza zaledwie jest w stanie podążyć za chyżą myślą dziecięcia — oto ciężkie zadanie wychowawcy.

Kto chce rozwijać młode umysły, ten nie powinien zaprzątać sobie głowy fantastycznemi teoryami o przedcielesném dusz istnieniu, o ich przyrodzonéj niezmienności — ale przeciwnie, powinien wierzyć jak najmocniéj w prawdziwość teoryi, która czyniąc go uprawiaczem duchowéj wiary, tem samem daje mu możność *tworzenia* władz w dziecku, tworzenia w niém nowych wyobrażeń, pojęć, idei, tworzenia nowych kierunków woli, sumienia i charakteru. Bolesne doświadczenie całéj ludzkości uczy nas, że ani rozum, ani rozumna wolność wyboru, ani sumienie, ani charakter, ani potęga wytrwałych przekonań, ani skłonność do szlachetnéj pracy, ani miłość kraju i szacunek dla prawdziwéj zasługi — nie powstają w nas same przez się, nie są udziałem wszystkich na świat przychodzących, nie rozwijają się zupełnie w stanie dzikości i tylko w rodzinie, tylko w społeczeństwie, tylko pod wpływem przykładów, nauki, towarzystwa, przestróg, doświadczenia, troskliwéj miłości macierzyńskiéj, skrzydłami anioła stróża osłaniającéj młodą roślinkę od szkodliwych wpływów, tylko pod działaniem tylu przeróżnych, a niezbędnych warunków — mogą się rozwinąć, wzmocnić i ustalić. Dzieci urodzone i wychowane pośród zbrodniarzy, nie dają oznak sumienia — wychowane w lenistwie, nie staną się bez dostatecznych pobudek pracowitemi, a wychowane w pogardzie niższych stanów, w lekceważeniu osobistéj zasługi, nie zdołają ocenić moralnéj wartości człowieka, ktory własną pracą, własną siłą charakteru, dobija się uznania i szacunku.

Wychowawca powinien wierzyć, że jakie ziarno zasieje, taki plon zbierze — że w jego ręku leży przyszłość dziecka. On może zmieniać i przygotowywać grunt moralny dla ziarna, które pod postacią wrażeń, pada na młodociane umysły; może i powinien z miejsca i czasu korzystać jak najstaranniéj — wiedząc, że ani myśl nie budzi się od razu, ani uczucie wykształca bez pobudek, ani charakter, bez przykładu.

Myślenie, tak samo potrzebuje czasu, jak praca cielesna, a nawet łatwiéj uzdolnić i wprawić ciało do pewnéj pracy fizycznéj, aniżeli uzdolnić i wprawić umysł do pewnéj pracy umysłowéj. Uwaga nasza nie jest w stanie myśléć o różnych przedmiotach jednocześnie, a zbyt szybkie przerzucanie uwagi, ciągła zmiana przedmiotów myśli, dzieje się zawsze ze szkodą umysłu, odbierając wartość spostrzeżeniom i myślom naszym. Badania fizyologów i psychologów, wykazały, że świadome ujmowanie wrażeń, zdolność rozróżniania i wytwarzania z tych wrażeń — obrazów duchowych czyli wyobrażeń, wymaga koniecznie pewnego czasu dającego się matematycznie oznaczyć. Szybkość naszych myśli uważana dawniéj za niewymierną, okazała się, przy ścisłych spostrzeżeniach, o wiele mniejszą, aniżeli sądzono; należy więc bardzo ostrożnie pobudzać umysł dziecinny, nie kazać mu zbyt szybko ujmować i przerabiać wrażeń, jeżeli chcemy, ażeby mechanizm jego myśli, nie uległ chronicznéj gorączkowości, sprowadzającéj zawsze w następstwie pewien nieład w sferze czynności duchowych. Ponieważ każde wrażenie, ażeby dojść do świadomości, potrzebuje na to pewnego czasu, przeto, jeżeli w krótkim czasie, dziecko odbierze zbyt wiele wrażeń, nie jest w stanie żadnego z nich ująć porządnie, a ztąd w umyśle jego tworzy się chaos i zamiast przyswoić więcéj niż zwykle, nie przyswaja trwale żadnego wrażenia.

Tak więc, myśl nasza, mając swe siedlisko w mózgu, powstaje i rozwija się w czasie i przestrzeni. Rozpatrzmy teraz bliżéj stosunki naszéj duszy ze światem zewnętrznym.

Mózg, będąc ukrytym w kościanéj puszce, zwanéj czaszką, nie może mieć bezpośrednich stosunków z otaczającym nas światem, a doświadczenie fizyologiczne uczy, że nawet wtedy, gdy jest odkryty np. wskutek uszkodzenia czaszki, mózg nie może bezpośrednio odbierać wrażeń.

Promień światła, rzucony na taki mózg, nie będzie widzianym przez jego właściciela, nawet dotknięcie palcem, nie będzie uczutém. Mózg można wycinać płatkami bez żadnego bólu. Jedném słowem mózg, chociaż jest, jak mówią, organem duszy, nie może sam odbierać żadnych wrażeń i przenosić ich do świadomości.

Do takiego ujmowania wrażeń zewnętrznych, potrzeba jeszcze innych przewodników, temi zaś przewodnikami są *nerwy* i ich zakończenia przy powierżchni ciała, zwane *organami zmysłów.*

Jeżeli więc weźmiemy pod uwagę np. zmysł widzenia, to ażeby najprostszy fakt ujęcia wrażenia światła mógł mieć miejsce, potrzeba następujących przyrządów:

Po 1-e oka, po 2-e nerwu wzrokowego, po 3-e mózgu. — Oko samo, jeżeli nerw jest przecięty, nie może widzieć; nerw sam jeżeli nie ma oka, nie może widzieć; mózg sam, jeżeli nie ma nerwu lub oka, również nie może widzieć. Wrzystkie trzy przyrządy, są zarówno niezbędne w akcie widzenia, tak że jeżeli np. uszkodzimy w mózgu miejsce zwane *wzgórkami czworaczemi*, w którem ma siedlisko duchowa władza widzenia, to chociażby nerw był cały i oko najzdrowsze, możność ujmowania wrażeń swietlnych, zginie nazawsze. Ślepota zatém, może być zarówno skutkiem uszkodzenia samego nerwu, jak samego mózgu.

Nerwy, sąto białawe, delikatne nitki, różnéj grubości, niekiedy tak drobne, że ich oko dopatrzéć nie może. A jednak najcieńsze z nich nawet, są złożone z mnóstwa jeszcze cieńszych niteczek, zwanych *włóknami nerwowemi.* Teto nerwy, rozsiane po całem ciele, wychodzą z ośrodków nerwowych i kończą się przy powierżchni ciała, rozgałęzione na drobne gałązki, z których każda, kierunek swój pogrąża w organ zmysłowy, przejmujący wrażenia zewnętrzne. Cała powierżchnia naszéj skóry, jest zaopatrzona w takie drobne gałązki nerwów, kończące się w różnego rodzaju *ciałkach czuciowych,* warunkujących wrażliwość naszego ciała na dotknięcie przedmiotów zewnętrznych, na wrażenia ciepła, zimna i t. p.

Mamy więc z jednéj strony, mózg, w którym rezyduje władza najwyższa, z ministrami różnych wydziałów — z drugiéj strony, świat otaczający: zagranicę. Pomiędzy zagranicą, a miastem stołeczném naszego państwa, ciągnie się tysiące dróg najróżnorodniejszych, a po nich przebiegają bezustannie doniesienia, pochodzące z kraju lub z zagranicy.

Władze zmysłowe stanowią ministeryum spraw zagranicznych — ale są także wydziały i dla spraw wewnętrznych. Wszakże możemy nietylko widzieć otaczające nas dźwięki, czuć zapachy lub powierzchnią ciał zewnętrznych — możemy także czuć najdokładniéj wrażenia głodu, bólu zębów lub głowy, zmęczenia muskułów, palenia wewnętrznego, mdłości i t p. a więc możemy odbierać wrażenia czysto wewnętrzne, a odnośnie do naszego porównania — krajowe. Mamy tedy dwie kategorye wrażeń: *zewnętrzne i wewnętrzne.* Jedne i drugie wymagają nerwów czucia i tylko za pomocą nich, mogą się dostać do mózgu i dojść do wiedzy naszego *ja.*

Wszystkie sprawy nerwów, o których wyżéj mówiliśmy, możnaby nazwać *dośrodkowémi,* albowiem przewodzenie wrażeń odbywało się od zewnątrz do wewnątrz, z zagranicy naszego ciała, lub z otoczenia ośrodków nerwowych, do nich samych. Ale zadanie rządu zawiadującego w stolicy, polega przecież nie tylko na wiedzy o tém, co się dzieje w państwie lub zagranicą, ale także i na samodzielném kierownictwie sprawami państwa i oddziaływaniu na sprawy zewnętrzne. W tym celu, najwyższa nasza władza, ma odrębne środki kommunikacyi z otoczeniem. Wydział zmysłów czyli wydział sprawozdawczy, ma *nerwy czucia* — zaś wydział woli czyli wydział wykonawczy, ma *nerwy ruchu.* Wszystkie objawy naszéj woli, są objawami ruchu i to ruchu muskułów. Poruszenia rąk, nóg, głowy, ust, języka, oczu, zmiana układu w rysach twarzy — wszystko to są ruchy muskułów, odbywane pod wpływem nerwów ruchu. Nerwy te, wychodząc z ośrodków nerwowych, rozgałęziają się w najrozmaitszych muskułach naszego ciała, a pobudzenia ich sprawiają kurczenie się mu-

skułów, poruszających ze swéj strony różne części ciała, i wywołujących tym sposobem, rozkazy naszéj woli. Wszystkie zas powyższe działania nerwów ruchomych, możemy nazwać *odśrodkowemi*, ponieważ pobudzenia ich przenoszą się w kierunku od wewnątrz na zewnątrz, od ośrodków nerwowych, ku powierzchni ciała.

Gdybyśmy przecięli wszystkie nerwy ruchu, ustałoby na raz wszelkie czucie, przestalibyśmy widzieć, czuć, słyszeć, nieczulibyśmy nawet własnego ciała, ani bólu ani przyjemności. — Gdybyśmy przecięli wszystkie nerwy ruchu, ustałaby na raz wszelka możność objawu woli; nie moglibyśmy ani chodzić, ani mówić, ani nawet poruszać ustami lub oczami. Gdyby przytém nerwy czucia pozostały nietknięte, popadlibyśmy w straszny stan letargu, w którym czując ból, nie moglibyśmy jednak poruszyć się z miejsca, dla uniknienia go — słysząc że nas mają wkrótce pochować, nie moglibyśmy najmniejszym ruchem zdradzić życia, by ocalić się od przedwczesnéj smierci.

Widząc taką zależność, mógłby ktoś pomyśleć, że same nerwy czuciowe czują i same nerwy ruchowe pobudzają muskuły do ruchu — ale tak nie jest. Jeżeli bowiem nerw czucia przetniemy, chociażby przy samym mózgu, tak że w całéj swéj długości pozostałby nietkniętym, to jednak władza czucia za pośrednictwem tego nerwu ustałaby na zawsze. Z drugiéj strony gdybyśmy nerw ruchu przecięli, choćby przy samym jego ujściu z mózgu — już wola nasza nie mogłaby na niego oddziaływać, a tém samém nie mogłaby poruszać tego mięśnia, w którym ów nerw się kończy. Widocznie więc władza czucia i władza woli nie mieszczą się w nerwach, lecz w mózgu, i chociaż nie możemy czuć inaczéj, jak za pośrednictwem nerwów czucia, lub objawiać naszą wolę inaczéj, jak za pośrednictwem nerwów ruchu, to jednak sama świadomość wrażeń czuciowych i świadoma siła woli, mieszczą się tylko w mózgu. — Oprócz tych spraw duchowych, polegających na stosunku duszy naszéj do otaczającego ją świata, istnieją jeszcze czysto wewnętrzne działania, nieokazujące w danéj chwili widocznego związku z otoczeniem. Działania te, znane są w mowie potocznéj pod ogólną nazwą *myślenia*. Można nie zwracać uwagi na żadne wrażenia zewnętrzne i nie oddziaływać na zewnątrz jakimkolwiek bądź ruchem, a jednak być czynnym duchowo: myśleć.

Mogę myśleć o przedmiocie, którego nie ma przedemną, a przytem, mogę myśleć, nie mówiąc głośno o czem myślę. Co więcéj, mogę patrzeć na dom, a myśleć o niebieskich migdałach, albo też rozmawiać bardzo grzecznie, w duszy przeklinając nudne towarzystwo. Myślenie zatém wewnętrzne, nie zawsze jest odbiciem obecnych wrażeń podobnie jak mowa i czyny nasze, nie zawsze są wiernem odbiciem ożywiających nas uczuć i myśli; nikt też nie może powiedzieć, że myślenie jest działaniem nerwów i przypisywać mu siedlisko inne jak w mózgu.

O TEMPERAMENTACH DZIECI.

Odczyty publiczne, miane w Krakowie,

PRZEZ

Lucyana Falkiewicza.

(*Ciąg dalszy*).

e) Cnotą tego zakresu woli jest pilność.

Jako przeciwstawienie wszystkich wad z zakresu *woli*, uważać można—*pilność*, cnotę, w cholerycznym temperamencie najzwyczajniejszą. Pilnością zowiemy zamiłowanie i ochotę do wszelkiéj *porządnéj* i *pożytecznéj* pracy. Dlatego też pilność odróżnić trzeba od uwijającéj się po mrówczemu i drobiazgowéj skrzętności. Pilność mająca we wszystkich stosunkach naszego życia coś nader sama w sobie zalecającego, może być łatwo zaszczepioną w dzieciach przez wczesne naginanie ich do téj cnoty. Kiedy zaś ta ostatnia raz przyjmie się w duszy i dziecko do praktykowania jéj, zamiłowanie poczuje, natenczas już bez naszego starania się nawet o to, pilność staje się koniecznością dla kształconéj przez nas natury, i objawia się w ciągłéj a silnéj działalności, z któréj najlepsze dla społeczeństwa rodzą się owoce.

Dzieci obdarzone od saméj już natury chlubnym tym przymiotem, należy pobudzać do wytrwałości tylko saméj w pracy, a najskuteczniejszym środkiem ku temu, jest przyzwyczajanie ich do *uwagi;* wielka bowiem liczba dzieci, staje się, mimo tego przyrodzonego daru, leniwą zczasem i nawet nieudolną do działania, jedynie z przyczyny, że nie przyzwyczajono ich z początku do zastanawiania się nad tém, co i jak mają robić. Przyzwyczajanie podobnych dzieci do porządku, własnym przykładem, drugim jest warunkiem ich kształcenia; bardzo często bowiem, przez sam tylko brak ładu i regularności w pracach, które im zadają starsi, zniechęcają się one i stają nawet zupełnymi próżniakami.

Nakoniec podnosi się pilność i tém jeszcze u dzieci, gdy z niemi razem często pracujemy i z niemi niejako razem się uczymy. Tym sposobem pokazujemy im, jak się do pracy zabierać należy, ażeby ją do zamierzonego doprowadzić celu. Na téj praktycznéj aczkolwiek dla wychowawców nader uciążliwéj drodze, wydobywa się pilność nawet u takich dzieci, które tego przymiotu z natury nie posiadają. Wiadomo bywiem z doświadczenia, że najlepsi nauczyciele, najlepszych mają uczniów, — kiedy przeciwnie, obojętni wychowawcy najpiękniejsze dary swych uczniów zobojętniają i marnują.

Najczęściéj także tém błądzimy, że dzieci naszych najgorliwsze usiłowania, przy ich wrodzonéj ambicyi, za mało cenimy, za zimno chwalimy, za obowiązkową ich pilność uważamy. Ileż to przykładów takiego postępowania względem pracowitości dzieci, dałoby się przytoczyć... że te chociażby z największém natężeniem wszystko zrobiły co do nich należy, otrzymują najwyżéj,—a i to częstokroć przy ponurém obliczu swych surowych sędziów, — ot np. taką pochwałę w nagrodę: „No—tak,—dobrze,—postępuj tak daléj,—tylko widzisz, to jeszcze nie dosyć,—powinno być daleko lepiéj”—i t. p.

Dla czegóż nie objawić dziecku czystéj prawdy?... Przecież ono za swą pracę, jak każdy inny z tego tytułu, powinno odebrać przynajmniéj zapłatę moralną, uczuć się zadowoloném w swéj duszy i widzieć swojéj pilności oddaną sprawiedliwość. Dlaczegóż my, jako najbliżsi i najlepsi przyjaciele, skąpimy temu małemu obywatelowi, dobrze zasłużonému swemu powołaniu, téj jedynéj i niewinnéj nagrody—objawienia tak miłéj i pożądanéj dla dziecka prawdy?— zwłaszcza, ze od niéj dalsza jego gorliwość i pilność zawisła, które to przymioty zniechęceniem mogą się ostudzić, i w saméj iskierce przygasnąć.

A jakaż to odpowiedzialność wobec społeczeństwa i kraju, jeżeli się ten pierwszy kapitał dzieci, którym to przyszłe pokolenie ma swoje gospodarstwo rozpocząć, w samym zarodzie zmarnuje!... Tak rozwijana pilność w dziecku, zamieni się w wykwitłym z niego człowieku w tę niezmordowaną i samienną działalność, która szuka zawsze i wszędzie nietylko własnego pożytku, lecz i dobra ogółu.

Pilność zatem jest przyszłym majątkiem kraju, a nauka posagiem dzieci, którym rodzice, wychowawcy i nauczyciele, w ich nieletności, do pewnéj pory tylko administrują, a z którego to kuratorstwa przed własném sumieniem i krajem rachować się wypadnie.

ROZDZIAŁ V.

Zakres rozumu i rozsądku.

Zdawałoby się, że rozum, ten najdroższy dar Nieba, zbliżający człowieka do samego Bóztwa, nie może, ba! nie powinien mieć żadnéj w sobie strony ujemnéj; wszakże tą najsilniejszą władzą duszy możemy wszystkie szkodliwe nam pokusy serca zażegnywać, a wybryki woli trzymać na uwięzi. Zapewne, że tak być powinno!

Czyż to jednakże daje nam zapomnieć, że i rozum ludzki, przez fałszywe wychowanie skrzywiony, lub znowu przez zaniedbane, własnéj zostawiony samowoli, może zejść na takie bezdroża błędu i przewrotności, iż częstokroć wątpić nam całkiem przychodzi, czy istota mianująca się człowiekiem, a tymże niby rozumem obdarzona, może się istotnie nazwać *rozumną*. Otóż właśnie do założenia, aby najszczytniejszą tę władzę duszy człowieka uczynić tylko bezwzględnie pożyteczną dla niego, — ma dążyć, jako do głównego celu, wychowanie.

Tak jest — oparte na zdrowém rozpoznaniu całéj siły umysłowéj w dziecku, wychowanie, ma obowiązek, dopatrzone w niém zarodki przyszłego rozumu, tak już w samém ich źródle mieć na pieczy i straży,—a z drugiéj strony, zbadawszy tegoż dziecka temperament i wszystko co się w temperamencie tym niebezpiecznego lub pożytecznego mieści, tak umiejętnie do swych sił zastosowywać, — aby pupil skarbami, któremi go obdarzyła natura, nauczył się tylko dobrze w przyszłém swém życiu rozporządzać, i skarbów owych na marnostki lub fałszywe cele, nie roztracił.

Wszakże w tém kierowaniu losem przyszłego człowieka, o tém przedewszystkiém należy pamiętać, że sam rozum, chociażby ten do pewnego nawet stopnia doskonałości był doprowadzonym, nie wystarcza jeszcze do prawdziwego szczęścia; że przy rozumie stoi wprawdzie prawo panowania nad namiętnościami i słabostkami serca człowieka, lecz wszystkich duchowych czynności naszych, nie wolno mu jest brać pod swoje absolutne ustawy, — boć w przeciwnym razie, gdzieżby się biedne podziało uczucie ono, któremu Bóg i natura, tyle szczytne powołanie w dziejach naszego tu życia wyznaczyli! przed ktorém tak często zimna rachuba rozumu ustępować powinna...

W chwilach np. potrzeby ofiary, kiedy serce drży aż do porzucenia dóbr ziemskich, dla dopięcia wyższego jakiegoś celu, kiedy stara się ciało zniewolić do zrzeczenia się rozkoszy dla zadość uczynienia np. wymaganiom cnoty, uczciwości, wiedzy i t. d.

Ma i rozum — tak jest — ujemne swoje strony, swoje wady, przeciwko którym wychowanie z całą mocą powinno działać... Choć zdarza się, i to częściej, że władzy téj duszy człowieka niedostaje właśnie pewnych koniecznych warunków, jako to: pamięci, uwagi, bystrości i t. p., bez których jednakże rozwój rozumu nigdy zupełnym być nie może, i bez których nawet cała natura nasza szwank ciągły w kroczeniu do swojego celu, ponosi. W tym ostatnim razie, wychowanie też radzić winno, aby o ile można przynajmniéj podnieść na jej wartości tak upośledzoną na duchu istotę, dopomódz jéj przez mocniejsze rozwijanie przymiotów, które od natury posiada do zastąpienia innych, których jéj brakuje, do dźwigania lżéj w przyszłém życiu ciężaru ułomności swoich — winno także, gdy władze rozumu rozstrzelone się wydają, w jednę całość je skupiać i w moc jednoczyć.

Otóż w myśl tego, znajdujemy następujące ujemne strony, czyli *wady* rozumu:

a) Niedołęztwo.
b) Zarozumiałość.
c) Ociężałość umysłu i
d) Drobnostkowość.

Wybitną zaś cnotą tego zakresu, wydaje nam się być — *uwaga*. (*d. c. n.*)

Z KRONIKI NAUKOWÉJ.

Atmosfera nerwowa Richardsona.— Hypoteza klimatów geologicznych Contejean'a.— Teorya ustroju komet Tait'a. — Poglądy na samorodztwo Huxley'a i Thomsona. — Jak pojmuje Thomson poczęcie się życia na ziemi. — Mimetyzm. — Ryby bezoczne. — Edward Lartet i jego zasługi. — Nowe publikacye.

Od czasu Willisa, funkcye systemu nerwowego, w organizmie zwierzęcym, były przedmiotem prawie nieustannych badań fizyologicznych, które doprowadziły do wielu hypotez śmiałych, lecz nie wytrzymujących krytyki naukowéj.

Obecnie znany fizyolog angielski, Richardson, wystąpił z nową *teoryą atmosfery nerwowéj*, z którą tu bliżéj poznajomimy czytelnika.

Willis był niezaprzeczenie wybornym obserwatorem,— upływ wszakże lat dwustu, znaczy wiele w postępie naukowym — przybyły nowe spostrzeżenia rzucające więcéj światła na tajemniczy czynnik, roznoszący wrażenia wzdłuż włókien nerwowych. Czem jest rzeczywiście ów czynnik? oto jedno z pytań trudnych, dotąd nierozwiązanych. Jestże to działacz nieważki, czy tylko płyn subtelny nerwom właściwy? Czy ruch jego następuje pod wpływem wszystkich sił: ciepła, światła, elektryczności—czy też jest on wypadkiem jednéj siły, którą nerwy roznoszą po prostu, jak druty metaliczne prąd elektryczny?

W pięknéj pracy: *Spostrzeżenia nad budową i funkcyami systemu nerwowego*, wyszłéj w roku 1783, Aleksander Monro rozbiera tak dawną hypotezę według któréj nerwy tworzyć miały przewody zapełnione płynem przez mózg, móżdżek, i rdzeń pacierzowy, wydzielanym, — jak i hypotezę Hallera przyjmującą płyn nerwowy, za prawie identyczny z elektrycznym. Według Monra, własność nerwów roznoszenia wrażeń, zależała od substancyi, która przez proste ciśnienie ruch udzielała. Rozdział pracy jego: „*o znaczeniu nerwów w żywieniu naszych organów*“ wskazuje niepospolitego badacza. Hypoteza wszakże istnienia płynu subtelnego w materyi nerwowéj,— płynu wprawianego w ruch przez prostą impulsyą, nie odpowiada już dziś obecnemu stanowisku fizyologii.—Richardson czyni jéj słuszne zarzuty i własny pogląd natomiast rozwija. Według niego, najstosowniéj byłoby przyjąć, że krew, w skutek rozkładów jakim ulega, w kończynach prądu obiegowego nabywa przymiotu assymilacyi. W skutek tejże, drogą systemu nerwowego, przenika do substancyi nerwowéj, i tworzy nieprzerwany przyrząd odbierający zewsząd wrażenia,—z cieplika, elektryczności, z działaczy chemicznych, i mechanicznych. W rezultacie Richardson przyjmuje w systemie nerwowym byt eteru, w którym pływają cząstki stałe, czyli molekuły materyalne. Ruch następuje w skutek wibracyi tegoż eteru. Dzięki temu ruchliwemu czynnikowi ekonomii zwierzęcéj, doznajemy wrażeń, poznajemy świat zewnętrzny i wchodzimy z nim w stosunki.

Hypoteza płynu elektrycznego, jaki przez długi czas poczytywano za siłę impulsyjną życia, ma ciekawą kartę historyczną.

Cuneus z Leydy w roku 1746, trzymając w ręku butelkę szklanną, napełnioną wodą i skomunikowaną z przewodnikiem machiny elektrycznéj, dotknąwszy drugą ręką drutu przewodnika odebrał silne uderzenie. Zjawisko to zadziwiło wielce i experymentatora i owoczesnych uczonych. Profesor tamecznego uniwersytetu Muschenhoek, probując na sobie podobnego doświadczenia, pisał do Réaumura: „Ból, jakiego doznałem w łopatkach, ramionach i piersiach, powstrzymał na pewien czas oddychanie—gdybyście ofiarowali mi całą Francyą nie powtórzyłbym próby.“ Pomimo tego wyznania, znalazło się dość wielu fizyków, niewahających się poddać dolegliwym uderzeniom elektryczności, z pomocą tego nowego procesu.

Podziw wzrósł jeszcze bardziéj, gdy w roku 1755. Benjamin Franklin urządził nowe doświadczenie, którem wywrócił sześciu silnych ludzi. Położył on koniec excytatora na głowie pierwwszego człowieka, ręce tegoż oparł na głowie drugiego, a ręce tego znowu na głowie trzeciego i t. d. Ostatni z nich trzymał w ręku łańcuszek komunikujący z przyrządem elektrycznym. Ludzie ci, powaleni na ziemię, zeznali jednozgodnie: że nie uczuli najmniejszego wstrząśnienia, nie słyszeli żadnego trzasku, nie widzieli światła, i nie mogą pojąć, z jakiego powodu upadli.

W roku 1790, Galwani, manipulując z machiną elektryczną, dostrzegł, że żaby obok tejże leżące, z których dla jego choréj żony miał być przyrządzonym bulion z przepisu lekarza, objawiały, pod wpływem prądu, żywe ruchy mięśniowe Galwani nazwał przyczynę ów ruch rodzącą, *elektrycznością zwierzęcą*—od czasu zaś doświadczeń Aldiniego, *siłę elektryczną* za jedno *z siłą żywotną*, uważano.

W roku 1803, Synowiec Galwaniego, Aldini, znany uczony, odbył doświadczenie z elektrycznością na trupie złoczyńcy, zmarłego w skutek zimna, i wywołał w zwłokach objawy życiowe, w godzinę po śmierci. Wiadomo nam zresztą, że człowiek, dotykając oburącz biegunów machiny elektro-magnetycznéj, w biegu będącéj, ulega mimowolnie gwałtownym kurczom mięśni.

Powołując się na te fakta. Richardson zwraca uwagę, że zjawiska kurczu mięśni, przyjmowania wrażeń przyjemnych, lub bolesnych, nie występują *wyłącznie* pod wpływem saméj siły elektrycznéj, lecz i innych. Jeżeli powiada, drażnić będę mechanicznie mięśnie zwierzęcia żywego lub świeżo ubitego, zniewolę je również do bezwłocznego kurczu. Ciepło wywrze na nie wpływ podobny. Wtryskując w arterye zwierza niedawno zmarłego wodę, temperatury 110° Fahrenheita, muskuły ożywią się i objawią ruchy jak gdyby prąd elektryczny pobudzał je do życia. Mała ilość nikotyny wpuszczona do żył zwierzęcia żywego, sprawia straszliwe konwulsye, po których śmierć następuje. U człowieka oddychającego azotanem amylu, naczynia krwionośne rozszerzają się, serce bije z szybkością, dwa lub trzy razy większą niż zwykle. Wypuszczenie krwi wreszcie, sprowadza gwałtowne konwulsye.

Owoż, wszystkie te fakta dowodzą, powiada Richardson, że nie sama tylko elektryczność wpływa na kurcz mięśni, a tém samém, że siła życiowa nie może być uważaną za elektryczną. Przyjmuje on natomiast istnienie siły rodzącéj się w organizmie, nerwy zaś i centra nerwowe, są według niego, rodnikami i przewodnikami téj siły.

Systemem nerwowym zarządza, według jego teoryi, subtelna atmosfera. Ona to stanowi węzeł łączący siłę z materyą,— dzięki jéj interwencyi, pierwsza porusza drugą. Dlaczego, zapytuje Richardson, elektryczność nie może wywołać kurczu mięśni w ciele nie uległém śmierci, bezwładném? Czyż nie dla tego, że te mięśnie mogą działać, a raczéj materya nerwowa straciła *coś* fizycznego? owo *coś* zniknęło i mięśnie nie mogą działać jakkolwiek są przez siłę pobudzano od ruchu. Dlaczego oko nieboszczyka nie widzi? dlatego zapewne, że pozbawionem zostało tego coś, które mu przesyłało fale świetlne. Dlaczego odmrożona część ciała staje się nieczułą w tym stopniu, że dotykanie nie sprawia w niéj żadnego wrażenia? Dlatego po prostu, że w téj części, z materyi nerwowéj ustąpił czynnik fizyczny, z pomocą którego była w związku z wpływami otaczającego ją

świata. Dla czego wreszcie wziewanie gazów narkotycznych znieczula zwierzę, temu doświadczeniu poddane? Nie z innéj zapewne przyczyny, jak tylko z téj, że materya obca dostaje się do systemu nerwowego, i przytłumia działanie siły zarządzającéj zjawiskami życiowemi.

Owoż Richardson przyjmuje ostatecznie istnienie w materyi nerwowéj atmosfery, złożonéj z gazu subtelnego, wytworzonego ze krwi i zawierającego tém samém równie jak i ona, węgiel, wodór, a być może i azot. Atmosfera ta zgęszczać się może pod wpływem zimna i usuwać z jednego miejsca w drugie, w skutek prostego nacisku. We krwi jest nierozpuszczalną.

Richardson przyjmuje w atmosferze nerwowéj pewne natężenie normalne, stałe, będące w związku z temperaturą zwykłą ciała. Atmosferę tę rozrzedza ciepło, pozostaje ona wreszcie dłużéj w zwłokach martwych zwierząt o krwi zimnéj, niż w tych, które cechują się gorętszą krwi temperaturą.

Według jego hypotezy, atmosfera nerwowa znika powolniéj u zwierząt zmarłych w skutek gwałtownego zimna, niż u tych które upał zabija. Atmosfera ta powinnaby posiadać słabą siłę spójności, a obok tego własność sprowadzania wibracyj elektrycznych, świetlnych, cieplikowych, i ruchu. Zapełniać ma ona cały system nerwowy, nie dochodząc do maximum natężenia, gdy indywiduum używa zupełnego zdrowia. Gazy ją rozpraszają. Zresztą, w czasie snu, skupia się ona w centrach nerwowych, i nabywa natężenia potrzebnego do ruchu, aż do chwili przebudzenia. Atmosfera nerwowa istnieje w ciągu życia, znika w chwili śmierci.

Działacz ten, powiada Richardson, nazywacie po staremu *duchem*. W rzeczy saméj, jest to duch sławiony przez poetów, analizowany przez filozofów starożytnych i nowoczesnych, lecz który, uważany obecnie za coś pochodniego z materyi, *przejdzie jednego dnia przez retortę chemiczną do odbieralnika i otrzyma wcale nową nazwę, lub dawną zachowa*.

Przyjmując byt płynu w systemie nerwowym, powiada daléj fizyolog angielski, musimy zarazem godzić się z materyą, nie wyjaśniejącą przecież subtelnych zjawisk organizacyi zwierzęcéj.

Podobnie hypoteza czynnika nieważkiego, chociaż mniéj materyalnego, sprowadza się do zadania podniesienia ciężaru bez punktu podpory. Zamiast tych dwóch hypotez, teorya gazu organicznego posiadającego wagę, blizką ciężaru gatunkowego atmosfery zewnętrznéj, wytwarzanego w materyi nerwowéj wszędzie, gdzie krew, z pomocą naczyń, z nią się spotyka, zgęszczanego przez zimno,—wreszcie przekształcającego się, w skutek łatwéj reakcyi chemicznéj, w nową formę materyi organicznéj,—przedstawia wielką prostotę, tłumaczy zjawiska życiowe, jakich tamte nie mogą wyjaśniać. Sprobujmy naprzykład zastosować tę hypotezę do wytłumaczenia zjawisk odbieranych wrażeń.

Gdy dla wydania dźwięku, powietrze w ruch jest wprawionem, ruch ten udziela się błonie bębenkowéj ucha, odtwarza się następnie w atmosferze nerwu odsłuchowego, poczem do mózgu przechodzi.

Wibracye eteru zapełniającego przestrzeń, tworząc fale świetlne uderzają na retynę oczną, która je zgęszcza i ruch ten przesyła nerwowi optycznemu, a daléj doprowadza go do centra nerwowego. Cząstki stałe, uderzając o nerwy powonienia, wywołują w nich wibracya atmosfery nerwowéj, i uzdolniają indywiduum do rozpoznania woni.

Atmosfera Richardsona, jest źródłem wszelkiego ruchu. Podobnie jak woda, unosząca się z ziemi w postaci pary i wracająca następnie do niéj pod formą rosy, deszczu, śniegu, lub gradu, atmosfera gazowa nerwów spełnia obieg stały i prawdopodobnie jest przyczyną wszystkich zjawisk życiowych. Rozlaną jest ona wszędzie, gdzie przeniknęły włókna nerwowe,—więc porusza cząsteczki do ruchu przeznaczone, łagodzi tarcie się molekułów, zarządza gromadzącemi się siłami, i sprowadza je do równowagi.

Gdy czuwamy, powiada Richardson, atmosfera nerwowa w czaszce i słupie pacierzowym przedstawia pewne natężenie, które słabnie, w czasie snu, w skutek mniejszéj jéj działalności w systemie mózgowo-pacierzowym.

W stanie chorobliwym organizmu, owe gazy nerwowe ulegają ubytkom lub przybytkom. Nagromadzenie się ich w większéj ilości w mózgu wywołuje apopleksyą, skupianie się zaś nadnormalne w innych częściach systemu nerwowego; sprawia rozmaite zaburzenia, jak np. dreszcze, konwulsye, po których to dopiéro wstrząśnieniach, atmosfera, życiodawcza wraca do równowagi.

Zresztą motor życiowy Richardsona, ulega zepsuciu od czynników trujących, podobnie jak powietrznia zewnętrzna. Gwałtowne działanie elektryczności rozkłada go, w skutek czego indywiduum doświadczeniu poddane, ulega śmierci.

Przypuśćmy, powiada Richardson, że do organizmu zwierzęcego wprowadzamy naprzykład chloroform, cóż nastąpi? Oto powstrzymanie ruchu, znieczulenie. Gaz obcy, przenikając do organizmu, odrętwia go, czyli stawia zawadę przesyłce fizycznéj wrażeń przez tę atmosferę bez chmur, mieszczącą się między życiem zewnętrznem i wewnętrznem.

Teorya Richardsona, nie przeczymy, przedstawia pewne strony ujmujące, objaśnia lepiéj zjawiska fizyologiczne, niż każda inna, pozostanie przecież czystą hypotezą, gdyż na poparcie jéj, Richardson żadnych nie składa świadectw, płynących z doświadczeń, na których przecież cały dzisiejszy postęp w naukach przyrodniczych spoczywa. Czuje dobrze ten brak twórca nowéj teoryi i dlatego też poprzeć ją przyrzeka tego rodzaju dowodami. Jeżeli dotrzyma słowa, odda fizyologii, równie jak psychologii, nie małą przysługę. (*d. c. n.*)

DRUGA MIŁOŚĆ.

POWIEŚĆ

JULII KAVANAGH.

Tom II.

(*Ciąg dalszy*).

ROZDZIAŁ I.

Wróciwszy do swego pokoju, Miss Glyn, długo rozmyślała nad sposobem postępowania, jaki ma nadal obrać „w obecnych krytycznych okolicznościach”. Plan jéj niezupełnie jeszcze dojrzał nazajutrz rano, gdy postanowiła zakommunikować go Kennedemu.

— Bacząc na przykrą pozycyą, w jakiéj postawiła mnie niewiadomość, co do osoby pana Dermot, — rzekła, — uważam za stosowne opuścić Saint-Vincent. Nie mogę pozostać z nim w jednym domu, bez przepraszania go, a ja nigdy nie przepraszam, to już moja zasada.

Naprożno Kennedy upewniał, że Dermot nie czuje do niéj żadnéj urazy, że chętnie przebaczy jéj obrazę, popełnioną przez nieświadomość. Miss Glyn miała znowu zasadę nieprzyjmowania przebaczenia. Zwracała przytém uwagę pana Kennedy, na złe skutki braku otwartości z jego strony, co sprawiło, że znacznie ochłódł w naleganiu, ażeby pozostała w jego domu.

— A teraz, — rzekła panna Glyn wstając, — ponieważ Sybilla nie może tu pozostać, to rozumie się, zabiorę ją z sobą do Anglii, a panna Cains może nam towarzyszyć.

— Dziękuję, — sucho odpowiedział Kennedy. — Chcę, żeby Sybilla została tutaj.

— Tu, z tym panem Dermot, tak młodym człowiekiem, i wcale nie jéj stryjem?

— Pani Mush przyjedzie, — odpowiedział Kennedy.

Oczy panny Glyn zabłysły, gdy usłyszała nazwisko swojéj kuzyny.

— Choćby tu było dwadzieścia takich pań Mush, — rzekła z oburzeniem,— dziwną byłoby rzeczą trzymać pana Dermot w domu, razem z dwoma pannami, takiemi jak Sybilla i panna Cains.

— Każdéj z nich życzę podobnego męża, — odpowiedział Kennedy z uśmiechem.

— Doprawdy, panie Kennedy? — rzekła ironicznie Miss Glyn i rozgniewana wyszła z pokoju.

— Rozumiem wszystko, — mówiła do siebie. — Trudno mnie oszukać. Jakób życzy sobie za zięcia pana Dermot, który jest bogaty, a Dermot wcale nie dba o Sybillę, tylko zajęty jest Blanką, zarzucającą na niego wędkę. Dziwię się, że Kennedy tego nie widzi.

Wszedłszy do swego pokoju, Miss Glyn, zaraz zajęła się pakowaniem. Porozkładawszy rzeczy, zadzwoniła, kazała Demizie poprosić panny Cains i znowu wróciła do swojéj czynności. Właśnie z wielką starannością składała suknię aksamitną, gdy drzwi się otwarły i weszła Blanka.

— Żądałaś pani bym przyszła? — zapytała, wątpiąc jeszcze w prawdę tego niespodzianego faktu.

— Tak, osmieliłam się prosić panią, — odpowiedziała Miss Glyn z uśmiechem, który miał być słodki. — Opuszczam ten dom i przed odjazdem, chciałam jeszcze pomówić z panią. Proszę siedzieć.

Miss Cains, wolałaby wysłuchać stojący, o co chodzi, przyjęła jednak zaproszenie starszéj osoby i siadła, rzucając pełnym upodobania wzrokiem na aksamitną suknię.

— Co to za barwa! — rzekła. — Jeżeli kiedy będę miała pieniądze, zaraz sobie taką sprawię.

Miss Glyn skrzywiła się i rzekła: — Czy tak? — uważając słowa panny Cains za bardzo nieprzyzwoite.

— Ja lubię aksamit! — mówiła daléj Blanka — to takie miękkie, podobne do futra. Zawsze mi się zdaje, że to skóra jakiego zwierzęcia. A pani?

— Nie, — krótko odpowiedziała panna Glyn i rzucając suknię na łóżko, nagle zwróciła rozmowę na inny przedmiot.

— Pani wiesz, że odjeżdżam?

— Nie wiedziałam, ale z tych przygotowań wnoszę z żalem, że tak jest.

— Odjeżdżam i nie wracam, a pan Dermot pozostaje.

Blanka z wdziękiem skłoniła głowę, a ponieważ siedziała blizko łóżka, wyciągnęła białą rączkę i głaskała ulubiony aksamit.

— Droga panno Cains, — rzekła Miss Glyn, dość ostrym tonem, — zechciéj uważać; to co powiém blisko dotyczé ciebie.

— O, ja uważam, — rzekła Blanka słodkim głosem.

— Dobrze, więc jak powiedziałam, pan Dermot i pan Kennedy, obadwa są nieżonaci; dozwól mi zwrócić twoję uwagę na to, że nie wypada ci pozostawać w tym domu.

Miss Cains spoglądała poważnie, nie dając odpowiedzi. Miss Glyn mówiła daléj:

— Jesteś pani, młoda i piękna i uboga do tego. Piękne imię jest wszystkiém dla ciebie. Ja odjeżdżam do Anglii i zabiorę panią ze sobą. Tam, umieszczę cię u mojéj przyjaciółki, która będzie rada z twego towarzystwa, dopóki nie znajdzie się jakie zatrudnienie, odpowiednie twoim talentom i ukształceniu.

— Zbyt pani dobra, — rzekła Blanka.

— I, rozumie się, przyjmujesz pani?

— O nie, dziękuję pani, — odpowiedziała panna Cains bardzo grzecznie. — Mam lat dwadzieścia pięć i mogę sama myśléć o sobie. Ale powiedz mi, pani, gdzie kupiłaś ten aksamit. Nie będę miała spokoju, dopóki sobie takiéj sukni nie sprawię.

— Dość tego, panno Cains, — rzekła Miss Glyn z gniewem, porywając za suknię, i rzucając ją daleko na krzesło. — Dość tego. Miałam podejrzenia.... teraz mam pewność..... wiem co pani masz na widoku.

— Zatém wiesz pani więcéj odemnie, — rzekła Blanka pogardliwie. — Ale słusznie pani mówisz, że dość tego.

Wstała, ukłoniła się, otrzymawszy sztywne kiwnięcie głową w zamian i opuściła pokój. Zaledwie weszła do swego pokoju, otworzyła komody, wybrała rzeczy, zaczęła pakować kufer. Jeszcze niedaleko posunęła się w téj pracy, gdy weszła Sybilla. Stanęła niema z podziwienia, ujrzawszy łóżko, zarzucone rozmaitemi przedmiotami garderoby panny Cains.

— Blanko, co to znaczy? — zapytała nakoniec.

— Odjeżdżam, — zimno odpowiedziała Blanka. — Panna Glyn, która odjeżdża także, twierdzi, że nie wypada mi pozostawać w tym domu, kiedy ty, jeszcze prawie dziecko, masz nim zawiadywać. I ma słuszność, chociaż jéj tego nie przyznałam. Opuszczam Saint-Vincent, do którego nie powinnam była nigdy przybywać, gdybym była miała rozum.

Wyraz twarzy Sybilli okazał widocznie zmięszanie, rzekła więc krótko.

— Nie pojedziesz!

— Ale muszę..... twoja ciotka już powiedziała mi, że mam zamiary na pana Dermot. Na *niego*, Sybillo!

Miss Cains wspaniale wyglądała ze swoją pogardliwą miną, co jeszcze bardziéj zmięszało Sybillę.

— Więc to z jego przyczyny odjeżdżasz? — zawołała. — Oddala ciotkę i ciebie. Blanko, czy chcesz, żebym go znienawidziła? Czemuż on sobie nie pojedzie?

— Zapewne dla tego, że dostał się do dobréj kwatery, — wzgardliwie odpowiedziała Blanka. — I ja jestem ubogą, nie chcę mu więc wyrzucać tego, że nic nie ma.... ale zostać nie mogę.

Klękła na podłodze i zaczęła daléj pakować.

— Nie, Blanko, to niedorzeczność. Nie puszczę cię.

— Muszę jechać, — odpowiedziała Miss Cains — i pojadę.

— Zobaczemy, — zawołała Sybilla i wybiegła z pokoju.

Biegła prosto do ojca, ażeby zatrzymał jéj przyjaciółkę. W zapale tym zapomniała, że i ciotka jéj ma także odjechać, ale gdy mijała jéj drzwi, usłyszała ostry głos: „Sybillo!” Weszła więc do pokoju i ujrzała pannę Glyn, stojącą pośród kufrów, jak głownodowodzący na polu bitwy.

— O, droga ciotko! cóżto, wszyscy się wybierają w drogę?

— A któż jeszcze, oprócz mnie? — zapytała panna Glyn.

— Blanka powiada, że musi odjechać, po tém coś jéj powiedziała, ciotko. O, zostań, zostań.

Miss Glyn zawołała Sybillę umyślnie po to, żeby jéj powiedzieć, że panna Cains jest najnierozsądniejszą osobą, jaką jéj się widzieć zdarzyło, ale na wiadomość o jéj odjeździe, zamilkła.

— Zostań, zostań! — prosiła Sybilla.

— Z panem Dermot zostanę w jednym domu? — była sucha odpowiedź.

— Nie cierpię tego pana Dermot! — zawołała Sybilla ze łzami — nie cierpię go!

— Nie miałabyś ani szeląga, gdyby nie on, — zimno odpowiedziała Miss Glyn. Pan Dermot był najlepszym przyjacielem twego ojca i serdecznie żal mi jego przyszłego losu.

— Losu! — jakiego losu? — zapytała blednąc Sybilla.

— Spytaj panny Cains.

— O ciotko! — zawołała zarumieniona Sybilla, — co też mówisz? — ona go nienawidzi.

— Naiwna jesteś..... jéj tylko chodzi o to, żeby przy nim była. Łowiła go tu przez cały czas, tak samo jak łowiła hrabiego, jak będzie łowić każdego mężczyznę, który się w tym domu pojawi. Sybillo, nigdy zamąż nie pójdziesz, dopóki ona tu będzie.

Sybilla chciała odpowiedzieć, ale Miss Glyn, tłómacząc się zajęciem, prosiła, żeby ją zostawiła samą. Wyszła więc Sybilla z oburzeniem.

To nieprawda! nie mogla uwierzyć, wszak on nie lubił Blanki, ani też Blanka jego. W tych myślach wpadła do pokoju ojca, położonego obok biblioteki i żwawo zawołała:

— Ojcze, wszak nie dozwolisz, żeby Blanka odjechała?

Zamiast pana Kennedy, wysunął się pan Dermot zpo za firanki, gdzie czytał list jakiś.

— Pan Kennedy wyszedł, — powiedział, — czy mogę pani w czém być pomocnym?

Zapytanie to, rozgniewało Sybillę do najwyższego stopnia.

— Nie, panie Dermot, — rzekła sucho, — chcę prosić ojca, żeby odrobił to, coś pan sprawił.... nie możesz mi pan być przeto pomocnym.

— Kto wié? — rzekł z uśmiechem. — Nie wiem o co idzie, ale gotów jestem usłużyć.

— Zbytek dobroci, — odpowiedziała Sybilla, — dozwól mi pan wątpić, iżbyś potrafił skłonić do pozostania tu ciotkę Glyn i pannę Cains, które chcą odjechać z powodu pana.

— Z mego powodu!.. Nie wiedziałem o tém, żem obraził i pannę Cains. Co do panny Glyn, wyznaję, iż nie potrafię jéj zatrzymać, ale mogę próbować powodzenia u przyjaciółki pani.

— Spodziewam się, iż wpływ pański na nią, większy niż mój, — rzekła Sybilla z błyszczącym wzrokiem.

— Tego nie mówię.

— Wiem, — mówiła daléj Sybilla z rumieńcem gniewu na twarzy, — iż i na ojca masz pan więcéj wpływu odemnie. Widziałam to niedawno.

— W istocie, dziwnieby było, gdybyś pani nie widziała tego, — odrzekł spokojnie, — ale zdaje mi się, żeś pani w niedobrym humorze, nie będę więc pani daléj wyrzucał moich usług.

To rzekłszy, opuścił pokój. Ton spokojny i chłodny, z jakim wymówił ostatnie słowa, rozdrażnił Sybillę, do najwyższego stopnia. Położyła głowę na stole i zaczęła płakać.

— Cóż ci to Sybillo? — zapytał ojciec, wchodząc.

Podniosła twarz zapłonioną. — Nieszczęśliwa jestem! — rzekła gwałtownie, — a wszystkiemu temu winien pan Dermot; nie będę szczęśliwą, dopóki on tu będzie.

— Zatém lękam się, że jeszcze długo nie będziesz szczęśliwą, — odpowiedział chłodno ojciec.

Sybilla oniemiała z oburzenia.

— Pójdź Sybillo, pomówimy rozsądnie, — rzekł Kennedy, siadając i przyciągając ją do siebie. — Czy wiesz kto jest ów nienawistny Dermot? To jeden z najzacniejszych, najszlachetniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek znałem. Nas łączy więcéj niż pokre-

wieństwo, bo przyjaźń wypróbowana. Dopomógł mi do ożenienia się ze swoją siostrą i tém ściągnął na siebie wielkie prześladowanie, gdy miał lat szesnaście. No, i ja wypłacałem się mu z długu. Choć nie raz ciężko mi było o pieniądze, choć nie raz troska mnie gniotła, starałem się o to, aby jemu ntgdy nie brakowało i aby nie wiedział o moich kłopotach. Gdy doszedł lat, połączyliśmy się stałą przyjaźnią; sądź więc, czy mogę cię uszczęśliwić, wypędzeniem go z mego domu?

— Tak, — odpowiedziała Sybilla — a co najgorsza, to to, że kochasz go bardziéj, niż mnie. Kiedy powróciłam z pensyi, myślałam, że byłam wszystkiém dla ciebie, a teraz widzę, że z jego przyczyny opuszczają mnie, ciotka i Blanka.

— O, panna Cains nie może odjechać — żwawo odrzekł, Kennedy.

— Powiada, że odjedzie jutro, koniecznie.

— Powiedz jéj, żeby nie odjeżdżała, że pani Mush przyjedzie. Albo czekaj, ja jej to sam powiem.

— Zaraz ją zawołam, — wykrzyknęła Sybilla i żwawo pobiegła na górę.

— Blanko, Blanko, — rzekła wesoło, wbiegając do pokoju przyjaciołki; — wypróżnij twój kufer, bo nie pojedziesz. Ojciec powiada, że cię nie puści, że pani Mush przyjedzie. Pójdź na dół do niego.

Miss Cains chciała się opierać, ale Sybilla wzięła ją za rękę i poprowadziła ze schodów.

— Panno Cains, — rzekł grzecznie Kennedy, gdy dwie te panny weszły do jego gabinetu, — nie możesz odjechać. Rozumiem i oceniam twoje pobudki, ale Sybilla potrzebuje twojéj przyjaźni. Moja kuzyna, pani Musch, za jakie dwa dni przyjedzie. Sądzę, że jéj obecność w tym domu, usunie wszystkie twoje skrupuły. Dozwól mi dodać, że pozostając, wyświadczysz mi największą łaskę.

Blanka zarumieniła się i stała niezdecydowana.

— O Blanko, — prosiła Sybilla, wieszając się jéj na szyję, — zostań, jeżeli mnie kochasz; zostań moja droga.

(d. c. n.)

MAŁŻEŃSTWO Z ROZSĄDKU.

Mama dobrodziéjka ma zwykle wtedy lat już koło 50-ciu.

Pobożna *dla starego zwyczaju*, chodzi regularnie na wszystkie summy i wotywy, jakie w parafialnym odprawiają kościele, a przez cały nawet czas *roratowy* — na roraty. Śpi officyalnie na kazaniach, wynosząc potém, po powrocie do domu, przed mężem i sąsiadkami swemi, treść tych nauk bozkich, pod niebiosa. Jest najlepszą gospodynią—oszczędność szanuje aż do tego stopnia, że robi sobie pomadę z pozłoty od rosołu. Chodzi w butach po piérwszym swoim mężu (miéwa bowiem zwykle ich dwóch!) dozorując nad robotami przy budowli kamienic, do których skupiając pale drewniane i cegły za pieniądze drugiego męża, pana Radcy, prowadzi tak interesa, aby na posag niezły dla córki swojéj z piérwszego małżeństwa, pewna kwotka z odpadłości posagu, którym znów pan Radca chce obdarzyć wyłącznie swego rodzonego syna, się złożyła. Z innych przymiotów, zauważyć w niéj można wstręt nieprzezwyciężony do książek—obojętność na wszelkie objawy miłości, któremi ją małżonek, po każdéj nowo-zjedzonéj półćwierci kawioru, częstuje — zaniedbanie mocne w stroju — srogość dla służących i — gwałtowny apetyt do zrazów polskich z kaszą. Znaków szczególnych żadnych.... prócz chyba wilczéj żądzy złowienia dla córki swojéj, bogatego a statecznego, jak się wyraża, męża.

Córka owa.... Przypatrzcie się jéj dobrze. Nie widzicież na téj owczéj, miłéj fizyognomii, śladów nieograniczonéj poczciwości i cnoty, którémi pomiędzy wszystkiemi stworzeniami, jedna owca podobno odznacza się najwięcéj.

Przed tą córką i przed tą mamą, zjawia się pewnego rana, niejaki np. pan Józafat, Kacper, Walenty, trzech imion Jełycki, sędzia apellacyjny z Warszawy, mąż dobrego już wieku.... biały—aż do siwizny, krępy—aż do otyłości, stateczny — aż do niedołęztwa i zacny—aż do głupoty. Bogaty przytém, bogaty!—ba—przez 20 lat *sądowania*, i to w sądzie, do którego apellują, potrzebaż było nim nie zostać?

Zjawia się tedy, wprowadzony przez samego pana Radcę, samego pryncypała domu, swojego podobno kollegę, jeszcze z czasów początkowéj służby w *magistracie* i kolegę powtórnego w mozolném urzędowaniu (jak się obaj wyrażają) przy *akcyzie*.

Związki zbyt święte, aby ich przy piérwszém zaraz spotkaniu, mocnym wzajemnym całusem w oba policzki, nie utwierdzić, — by ich wyswataniem starego kamrata, na podobający się Bogu związek małżeński, z pasierbicą swoją, nie chciéć raz jeszcze uświęcić.

To téż pan Radca, koleżeństwo swoje święcił i twierdził.

Pani Radczyni cała była już po stronie pana Jełyńskiego.

Zgody tylko saméj córki jeszcze potrzeba było, ale.... któżby się tam, proszę, o bagatelę taką kłopotał!

Przywołana do matki, zalała się podobno łzami z początku, gdy jéj o projekcie wydania jéj za sędziego, oznajmiono.

— Ależ on stary, jak grzyb, Mamo!—zawołała w piérwszém oburzeniu.

Na co mama:

— Możeby ci się chciało wyjść za tego goliasza!... za tego smyka professora-poetę, z którym jak mówią po mieście, od pół roku już romansujesz!... Co?..

Córka na to ostatecznie straciła już kontenans. A potém.... Potém tylko raz jeszcze zalała się łzami—i raz jeszcze, widać, chciała szepnąć *ależ*, bo roztworzyła usta na całe wielkie A, i giest zrobiła taki, jaki robi owca, gdy się czemuś, lub komuś opiéra.

Lecz matka:

— Żadne *ale!*—żadne!—bardzo proszę!—Z poetami, professorami, nie tobie się swatać!—Niech jedzie po szwaczkę jaką do Warszawy! — Jutro z Sędzią zaręczyny.... Rozumiesz?...

* * *

I nazajutrz, były zaręczyny rzeczywiście.

Patrzcie oto, z jaką pokorą panna się poddaje nieprzychylnemu dla pożądań jéj serca, losowi!

— Tak u nas przez lat tysiąc wiązały się stadła! — wyrzekła uroczyście, po skończeniu już aktu, matka.

— A może to i Mama ma racyą?—córka poczęła dopiéro rozważać. Pani Tyrniszewska, bardzo porządna kobiéta i przyjaciółka prawdziwa przecież nasza. powiada, że w małżeństwie, miłość niepotrzebna wcale, — że to tylko tak sobie ksiądz jakiś, to słowo w katechizmie pod paragrafem o *małżeństwie* wpisał, ale że jak w kosciele przysięga się na miłość, to. .. to tylko reguła, forma i nic więcéj. Że będąc mężatką, ma się zawsze kochanka.... Że ona sama tak żyje już dawno....

— Ale Konrad! Konrad! — dodała z egzaltacyą i zakrywszy oczy zamyśliła się nieco.... aż rzeknąwszy w końcu półszeptem:

— Może i pani Tyrniszewska ma racyą.—Pójdę za tego grzyba!—niech go tam!—zawołała—Otrząsnęła się—zakręciła i tupnąwszy nóżką....

Poszła za niego.

* * *

I to wszystko razem nazywa się—*małżeństwo z rozsądku.*

WIENIEC.

— Niemcy, od krańca do krańca, brzmią poezyą bojową. *Germania Victrix* otrzymała w dedykacyi, cały zbiór poezyj starego Freiligratha, które wraz ze „*Strażą Nadreńską*" stanowią wyłączny pokarm duchowy Niemiec, w obecnéj chwili. Czwarty tom wszakże zbioru „Freiligratha', składa się przeważnie z przekładów, wykwitłych w owych jeszcze czasach, kiedy poeci Niemieccy nie gardzili utworami swych współzawodników we Francyi i Anglii. W tomie tym więc, są prawdziwie artystyczne tłómaczenia z W. Hugo, Alfreda Tennyson'a, Felicyi Hemans, Longfellow'a. W jeden akkord bojowy ze zwycięzkim *Hurrah Germania!* Freiligratha, zlewają się pieśni Geibla, którego dotąd nazywano *poetą wyrostków;* czas postawił go na piedestale wielkości i sympatyi narodowéj. Obok Geibla stoi Rittershaus Emil, autor pieśni, p. t. „Nieder Bonaparte!" Werwa tego poety odznacza się większą radykalnością i demokratyzmem, niż muza Geibla; radzi on, tu i owdzie, schować miecz do pochwy i zająć się oświatą ludu. Najgorliwszym bardem ostatnich zwycięztw Niemieckich, jest Oskar v. Redvitz, którego natchnienie homeryczne wydało 500 sonetów!.. Z dzieł treści naukowéj, w literaturze bieżącéj Niemieckiéj, zasługują na uwagę: „Zarys historyczny poezyi Niemieckiéj;" dzieło to, doprowadzone do 3-go zeszytu, obejmuje *epokę odrodzenia literatury w Niemczech.* Nie wypada też pominąć dzieła, nowo-pojawionego w tém piśmiennictwie, p. t. „Pani Radczyni," obejmującego listy matki autora Fausta.

— Wyszło w świat nowe, ozdobne dzieło Flammaryona, p. t: „Medycyna i doktorzy." P. Ernest Rénan napisał: „Reforma intelle-

ktualna i moralna.” Przychodzi nam chętka zapytać autora tego ostatniego dzieła, czy też nie zechciałby ozdobić swą pracę dewizą: „*Vaut mieux tardque jamais.*”

Illustracya Europejska podała reprodukcyą z pięknego obrazu p. Adolfa Dillens'a, p. n: „Na lodzie.” Najpopularniejszy ten malarz dzisiejszy, urodził się w Gandawie w 1831 r. Od obrazów historycznych, przeszedł on do pszenoszenia na płótno typów i obrazów z życia Hollandyi. Utwory jego, malujące typy Zellandzkie, zaliczają się do arcydzieł. W ogóle, w kraju i za granicą, przyznają temu artyście przedewszystkiém, nadzwyczajną trafność w charakteryzowaniu osób i rzeczy miejscowych, tudzież moc kolorytu. Patrząc na wzmiankowany obraz, z życia właśnie hollenderskiego, zdaje się, iż oddéchamy mglistém powietrzem Hollandyi, że słyszymy gwar ślizgających się na lodzie osób, a ruchy ich dotykalnemi zdają się być dla oka.

— Illustrirte Zeitung zaleca „Nowellę” p. Zaar'a p. t: „Innocens.” Jest to obraz psychiczny, przedstawiający walkę, jaką toczy kapłan, co rzucił świat zawcześnie, z budzącym się w nim człowiekiem. Przypomina to nam najpiękniejszy utwór Lamartine'a, p. t: „Jocelin.” Jeden z literatów naszych sprowadza tę Nowellę, w celu przełożenia jéj na język polski.

— P. Muchanow przełożył i wydał w Petersburgu, nader ciekawe dzieło, p. t: .Zapiski Hetmana Żółkiewskiego.”

— Znany pisarz rossyjski, Mikołaj Gerbel, wydał dzieło p. t: „Poezya Sławian.”

— W Warszawie, p. Fatiejew wydał w języku rossyjskim: Geografią powszechną, a p. Simonenko napisał: „Państwo, społeczność i prawo.” (Gosudarstwo, obszczestwo i prawo).

— W Czechach, pan Goll tłomaczy: „Pana Tadeusza” i „Ojca za dżumionych” Słowackiego; Dr. Zemann „Bieniowskiego” tegoż autora, Hol, „Mohorta;” Ketitz, listy Z. Krasickiego.



Małżeństwo z rozsądku, kopia ze szkicu Grandville'a. (Patrz str. 7.)

— W Pradze Czeskiéj, wyszedł z pod prassy drugi tom „Historyi miasta Pragi, przez Tomka i bardzo ładny zbiór poezyj Albertyny Dworaczek, p. t.: „Chudobki.” Z utworami téj poetki zapoznaje nas, od czasu do czasu, to w „Bluszczu,” to w „Tygodniku Illustrowanym,” p. Bronisław Grabowski. Tamże, zacznie wkrótce wychodzić poważne pismo peryodyczne, miesięczne, p. t. „Oświata,” redagowane przez pana Wacława Wlecka.

— P. Jaksa Bykowski napisał nową powieść: „Nomina sunt odiosa.” Tytuł bardzo ciekawy. Czy treść mu odpowie?....

— Dr. Pelbart w Getyndze, wydał dzieło, nieobojętne dla naszych historyków, p. t: „die ältere Chronik von Oliva.”

— P. T. Korzon, wkrótce ma ogłosić drukiem: „Historyą wieków średnich.” Spodziewamy się po piórze p. Korzona, który dał już parę jego próbek w „Tygodniku Illustrowanym,” rzeczy dobréj i poważnie traktowanéj.

— Biblioteka rolnicza, wychodząca dotychczas zeszytami przy Gazecie Rolniczéj, ma od nowego roku wychodzić osobno, jako pismo peryodyczne, miesięczne. Życzymy jéj szczerze powodzenia, przy takim braku, jaki jest u nas jeszcze w ludziach poświęcających się studyowaniu rolnictwa.

— Wyszedł III-ci tom Biblioteki klassyków polskich, nakładem Breslauera i zawiera poezye T. K. Węgierskiego.

— Deotyma napisała balladę, p. t: „Powrót gołębia.” Utwór ten sama autorka miała odwagę deklamować, na koncercie pp. Moniuszki i Kątskiego, danym w sali Ratuszowéj, na korzyść niezamożnych uczni Konserwatoryum Muzykalnego Warszawskiego, — a deklamacya ta przekonała, że niezawsze „audacem fortuna juvat.”

— P. Apolinary Pietkiewicz, autor niedawno wyszłego dzieła, p. t: „Meteorologia,” wydał piękny illustrowany przekład dzieła O. M. Mitchella: „Ciała niebieskie.”

— Autorem najnowszego studyum o Koperniku, we Wrocławiu, jest, jak dowiadujemy się, Dr. Nehring.

— Eustachy Hr. Tyszkiewicz, napisał zajmujące, pod względem archeologicznym, dzieło: „Groby rodziny Tyszkiewiczów.”

— P. Julian Schönmann, redaktor zapowiedzianego pisma peryodycznego, „Niwa,” upoważniony został przez władzę tutejszą edukacyjną, do założenia szkoły dla Izraelitów, składającéj się z 4-ch klass i klassy wstępnéj.

— Teatr Rozmaitości wkrótce przedstawi jednoaktową komedyą, p. t: „Sama,” przełożoną z francuzkiego, z muzyką dorobioną przez p. Jana Tatarkiewicza, artystę dramatycznego tutejszéj sceny.

— Jakkolwiek nie zapatrujemy się na życie, jak *na sen na kwiatach* i aż nadto przywykliśmy już do strat wszelkich, wszakże nie mieliśmy odwagi podać na wstępie czytelnikom naszym wiadomości, o stracie, jaką poniosło piśmiennictwo nasze, w osobie Aleksandra Hr. Przezdzieckiego. — Jesteśmy tego przekonania, że publiczność nasza czytająca, równie jak my, zasmuci się taką wiadomością. Zmarły znanym jest w literaturze naszéj, z wielu i bardzo poważnych dzieł treści naukowéj i historycznéj. Jako więc sumiennemu pracownikowi w winnicy Pańskiéj i rodakowi, posyłamy mu ztąd na obczyznę, z głębi serca bratniego: *terra sit tibi levis!* W przyszłym numerze, w Opiekunie, znajdą czytelnicy życiorys i portret zmarłego.

☛ Patrz Dodatek.

Дозволено Цензурою. —W drukarni Jana Jaworskiego, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Redaktor, Bogumił Aspis.